POEZYE

R. H. Laskowskiego.

WARSZAWA.

w Druk. J. Kaczanowskiego

—

1842.

Wmu Kondratowiczowi

na pamiątkę

[illegible signature]

POEZYE ORYGINALNE

Romana Korab Laskowskiego.

WARSZAWA.
Nakładem Autora.
W DRUKARNI JULIANA KACZANOWSKIEGO
przy ulicy Długiéj Nr. 543.

1842.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

I.

BALLADY.

Artur i Klementyna

ARTUR I KLEMENTYNA

Ballada

W TRZECH PIEŚNIACH.

I.

Kędy stóletnich dębów konary,
Wznoszą swe szczyty aż pod obłoki,
Stoi w ustroniu gmach bardzo stary,
Zbudowan cały z twardéj opoki.

W około niego szybkim pędem toczy,
Nurty spienione strumień czystéj wody,
Tuż piękny ogród zaraz na uboczy,
Miłéj strudzonym użycza ochłody.
Tysiące ptastwa różnorodnéj rassy,
Bujają wolno na powietrznéj szali,
Owdzie posągi z różnych kruszczów massy,
Znów chłodne groty ze śpiżu i stali.
Pałac z zewnętrza nosi piętno czasu,
Sięgając dawnych struktur swoim gustem, —
Z przodu ozdabia go widok tarassu,
Wzbogaconego pięknéj rzeźby biustem.
Kiedyś otworzył w tym gmachu podwoje,
Zdumione oko ledwoś mógł nasycić,
Najczystszym gustem zdobione pokoje,
Mogłyby króla mieszkaniem się szczycić.
Bogate w pomysł malowniczéj sztuki,
Z pod ręki mistrzów w ówczas najsławniejszych,
Zdobiły ściany wisząc w kształtne łuki,
Obrazy z czasów najstarożytniejszych.

W ustroń téj lubéj i mamiącej ciszy,
Wązka przez skały prowadziła droga,
A kto raz pierwszy wiódł tędy swe kroki,
Nieznana jakaś przejmowała trwoga.
Kiedyś już przebył te ponure skały,
Zbliżając swój krok pod pałacu szranki,
I kiedyś wstąpił po za pierwsze wały, —
Ujrzałeś wtenczas postać téj ziemianki,
Co w więzach *swoich* Artura dzierżyła.
To albo wolnym przechodziła krokiem,
To znowu spieszniéj zdaje się dążyła,
Lub ku pałacu pobiegła z podskokiem.
Téj czarnobrewy chożéj dziewicy,
Miłéj jak piękny wiosny poranek,
Rumieniec krasny oblewał lica,
A włosy zdobił rozmarynu wianek.
Rączka i nóżka gdyby utoczona,
Włos utrefiony igrał z wiatru pędem,
Pierś śnieżna z więzi gorsa uwolniona,
Twarz napawała najmilszym obłędem.

Badawcze oko mogło zaraz dociec,
Że ten którego czekała od ranka,
Nie był to ni brat ni rodzony ojciec,
Lecz nosił imie lubego kochanka.
W tém gdy się zbliża ku wieczornéj porze,
A nikt od lasu dotąd nie przybywa,
Już i na niebie zabłysnęło zorze,
Nadobne dziewcze próżno oczekiwa, —
Aż pędem strzały rycerz się przybliża,
Koń parska ogniem, krew z jezdzca się broczy!...
Miecz zakrwawiony przed jéj stopy zniża,
Spojrzenie jego śmierć ponura mroczy.
„Poległem w boju! rozłączam się z tobą!...
Inne Najwyższy zrządził przeznaczenia!...
Skon mój niech dla cię nie będzie żałobą,
W tobie lud mnogi czeka wybawienia.
Jutro zwycięzca ręki twéj zaprosi,
Dla kraju zrobić musisz tę ofiarę,
A świat zbawczynią swoją cię ogłosi,
Ty spełnisz szczęścia podaną ci czarę.

Bądź zdrowa! skon mój niechaj cię nie smuci,
Ujrzem się znowu, lecz w inszéj krainie!...
Zanim dzień nowe świtanie ozłoci,
Już stanąć muszę w szczęśliwéj dziedzinie.“
I gdy ostatnie te domawiał słowa,
Rażąca jasność w koło otaczała,
Złotym promieniem otoczona głowa,
I postać jego jakby z śniegu biała.
Koń stanął dęba, jasność spełzła razem,
Woń balsamiczna do koła zionęła,
Zgiełk powstał jakby od szczęku żelazem,
I w moment postać rycerza zniknęła.

II.

Jutrzenka błyszczéć zaczęła na Niebie,
Zdzierając czarny płaszcz posępnéj nocy,
Jeszcze nie jeden w gruzach się zagrzebie,
Jeszcze śmierć zioną działa od północy.

W tém na zawiasach skrzypnie most zwodzony,
I tentent koni przerwał głuchą ciszę,
I w oka mgnieniu zamek otoczony,
Przez zbrojną w miecze i dziryty rzeszę.
Rycerze jakby do boju stanęli,
W každego oku spojrzenie marsowe,
Tylko czasami wiatr pióra pochyli,
Co ozdabiały szyszaki stalowe.
Pan domu wita przybyszów w swe progi,
I prosi zesiąść z znužonych rumaków,
Dając gościnny wypoczynek z drogi, —
I znowu szelest tysiącem sajdaków,
Co ukrywały szybkolotne strzały,
Znów się gwar zrobił po krótkim milczeniu,
A wiatr niósł echo po za zamku wały,
Szybkim polotem prawie w oka mgnieniu.
Byli to posły o rękę dziewicy,
Co nieśli w zamian zawarcie pokoju,
Niejeden przed nią uchyli przyłbicy,
Bo ona wstrzymać ma rozkaz do boju.

III.

Trzeci raz nikły już słońca promienie,
Głuchy gwar ptastwa uciszać się zdawał,
Już i pasterza słodkie fletu brzmienie,
Szum tylko wiatru do ucha podawał, —
Pasterki z trzodą do domu wracały,
Nucąc miłosne piosenki ochoczo,
Młode jagnięta w wyskokach pląsały,
I wół leniwy dążył nawet skroczo.
Noc czarnym kirem ziemie otoczyła,
Tylko czasami z za chmur się ukaże
Księżyc, co blade promienie rozsyła,
Tocząc swój obieg po Niebios obszarze.
Wszystko w głębokiej pogrążone ciszy,
Jakby już życia nie było na świecie,
Wiatr tylko czasem drzewem zakołyszy,
Albo z szelestem suchy liść pomiecie.
W pałacu każdy spoczynku używa,
Marząc o ucztach wraz nastąpić mianych, —

Czasami tylko tę ciszę przerywa,
Puszczyk, mieszkaniec zgliszczów rozsypanych.
Lecz jeszcze jedna osoba czuwała,
Bo sen dalekim był od jéj powieki, —
Łzami się prawie ciągle zalewała,
Bo już tu wszystko żegnała na wieki.
W końcu ogrodu gdzie zbujałe drzewa,
Dumniéj wznosiły swe czoła w obłoki,
Tu Klementyna stopy ich oblewa,
Łzami, co biegną jakby dwa potoki,
Po pięknym licu na jéj śnieżne łono;
Tam wśród nich stoi grobowiec Artura,
Tutaj pamiątkę walecznego skonu,
Cichość w około otacza ponura.
Mogiła darnią zieloną pokryta,
Tych miejsc posępnych została ozdobą,
Na wierzchu kamień, a na nim wyryto:
W wieczności progach znów złączym się z sobą.
Płaczące brzozy w koło zasadzone,
Strzedz miały wiecznie téj skromnéj mogiły,

Tu one kroki wędrowca znużone,
Zapraszać miały kiedyś w swój chłód miły.
„Bądźcie mi zdrowe miejsca ulubione!..
Wy drzewa! krzewy! zielona mogiło!
Tu serce moje żalem przepełnione,
Tu w wasze cienia pamiątkę złożyło.
Tu luby Artur mój przy was spoczywa!...
Tu zdaje mi się że jestem z nim razem!...
Tu roskosz z *żalem* serce me porywa,
Wy tym czarownym jesteście obrazem.
Spoczywaj miły! spoczywaj w spokoju!...
Myśl moja błądzić tutaj będzie z tobą!...
Rękę oddaję by wstrzymać mord boju,
Lecz serca nasze ciągle będą z sobą.“
Takie ostatnie było pożegnanie,
Tkliwej dziewicy popiołom kochanka,—
Bo ją na zawsze czekało rozstanie,
W dalekie strony z nadejściem poranka.

Laura i Krzyżak.

2*

LAURA I KZYRŻAK

Ballada

W TRZECH PIEŚNIACH.

I.

Gdzie Niemen skrapia zyzne Litwy pola,
Tocząc spienione ciemne swoje wody,
Tam bujne kłosy wdzięczna rodzi rola,
Wiosna bogaci ziemię w swoje płody.
Góry drzewami pokryte zielenią,
Ciemne parowy, to znów błonia czyste,

W zdziwieniu oku twojemu odsłonią.
Tam cicho szemrzą strumienie srebrzyste,
Tam ptastwo nóci ciągle słodkie pienia!
To raz dolinę posępną do koła,
Znów ujrzysz z góry niebiosów sklepienia,
Tu chatkę schludną, znów bogatsze sioła.
Tu niezliczone trzód pasą się stada,
Tu pasterz choży na swym flecie nuci,
Wraz lube echo wdzięcznie odpowiada,
Znów śpiew pasterki z dumań cię ocuci.
Czyste powietrze ciągle tu panuje,
Mamiąca roskosz duszę twą zachwyca,
Zda się że szczęścia nic tu nie zatruje,
Tutaj złudzenie zmysły twe podsyca.
Lecz gdy już słońce za góry się skryje,
I noc rozpostrze czarne swoje cienie,
Zda się że wszystko tutaj już nie żyje,
Bo nawet ptastwa nie usłyszysz pienie.
Jeżeli słowik czasami zaśpiewa,
To jakieś smętne tylko nóci tony,

I ci kapłani przyodziani w zbroje,
Z mieczem przy boku i z pokorą w mowie,
Nieść mieli wiernie nam usługi swoje, —
A krzyż na piersiach i chełm na ich głowie,
Były oznaką, że to Krzyżak prawy.

Mistrz ich zakonu miał przywodzić radzie,
Daléj *Komtury*, wielcy urzędnicy,
Co zaprzysięgli nie myśléć o zdradzie,
I zawsze z mieczem w swéj silnéj prawicy,
W obronie kraju, i *Chrystusa* wiary.

Mieli wsie, zamki, mocne wielkie grody,
A w nich świątynie od srebra i złota, —
Im nieść ofiary spieszono w zawody,
Bo pod kapturem miała błyszczéć cnota,
Tych zbrojnych mnichów, jak pośmiertne mary.

A pod świątynią nie jeden loch ciemny,
I drzwi zamczyste, żelazne zapory, —
Przed niémi trzymał straż *knechta* najemny,
Do łupieztw, zdrady, pochopny i skory,
Z myślą tak czarną, jak jego kapica.

I jeszcze jedne tam drzwi były skryte,
W lochu co tworzył tajemniczą salę, —
Całe jéj ściany w kir czarny obite,
Tam w niéj ważono sprawiedliwą szalę,
Tam była wieczna sądu tajemnica.

I biada temu kto przestąpił prawa,
Bo wyrok dano już bez odwołania, —
Gdy potępiła zakonu ustawa,
Już go gotują bracia do skonania,
I nie wié czyja głowa go sądziła.

Bo każdy *wchodzi kapturem* zakryty,
Na stole leży miecz i wielka księga,
A obraz śmierci na środku wyryty, —
Była to silna w umyśle potęga,
Bo tam nie jedna nić życia wybiła.

Głuche milczenie zaległo do koła,
Tak jakby w grobie, umarłych siedzibie,
Bo nie ujrzałeś swoich sędziów czoła,
A każdy prawie na śmierć twoją dybie,
Gdy *Mistrz* uderzy młotkiem w środek stoła.

I *Instygator* wnosi sprawę winy,
Sam oskarżony przymówił obronę, —
Następnie ścisle rozważano czyny,
Na którą szala przeważyła stronę,
Śmierć, lub niewinność ich wyrok obwoła.

Długo też istniał pod takiemi prawy,
Zakon co słynął z swoich cnót i męztwa, —
Lecz gdy zdeptano te święte ustawy,
Srzeżąc w około postrach wśród zwycięztwa,
Wtenczas, swe znane objawili czyny.

Pustosząc kraje pod osłoną wiary,
Wiedli bój nieraz zacięty i srogi,
I jakby z grobu wypuszczone mary,
Śmierć roznosili w swoich panów progi,
Byli to wówczas, złości ludzkiéj syny.

Oni sto razy chytrzejsi od wroga,
Nic im świętego nie było na ziemi,
Niepomni prawa, i niepomni *Boga*,
Szli prawie zawsze drogami ciemnemi,
A niewstyd, bezrząd, przywodził na czele.

Czytaj ich dzieje, a zadrżysz od zgrozy!..
Spojrz na ofiary ich intryg lub dumy,
A kości twoje przejmą śmierci mrozy,
Wraz chciałbyś zniszczyć te najemne tłumy,
Co zdradne dusze kryli w ludzkiém ciele.

Lecz już zamarła piekielna potęga,
Zdeptane węże, jadowite gady,
I tylko jak sen ich podanie sięga,
Ich chytre czyny i szatańskie zdrady,
Co przemieszkały pod osłoną wiary.

A *kiedy wstąpisz* na *Chełmińską* ziemię,
Co im pobożny Król dał na schronienie,
Przypomnisz sobie to piekielne plemie,
I jeszcze w staréj wieży rozwalinie,
Mówią, że widać tam *Krzyżaków* mary.

Nikt też tam w nocy pójść się nie odważy,
Bo przesąd wsparty jest podaniem ludu, —
I z nich nie jeden dziwne rzeczy gwarzy,
Prawi wypadki nie jednego cudu,
Że aż strach w duszę, mimowolnie wraża.

Z tych ja ci jednę opowiem w tej piesni,
Choć dziwną może, — lecz taką być miała;
A pogrążona w dawnej wieków pleśni,
Jakby sen dotąd u ludu przetrwała,
Co czasem dziwy za prawdę ci stwarza.

III.

Słońce kryło swoje *lica*,
W niebotyczne lasu szczyty,
Jakaś bieży tam dziewica,
Przez tę niwę w las podszyty,
Bieży, stanie, znowu słucha.

Czarne jak heban warkocze,
Kryją śnieżne jej ramiona,
Na piersi krzyżyk migocze,
Ona cała zapłoniona,
Wiatr jej niesie coś do ucha.

Ciemno, głucho, ona bieży,
Przez manowce w dzikie stepy, —
Strach na głowie włosy jeży,
Napotyka znów czerepy,
I skrwawionych kości szczątki.

Ślad zostawił Tatar dziki,
Co zamienił dom w perzynę, —
Jeszcze słyszy jego krzyki,
Widzi w ogniu swą dziedzinę,
Ach, bolesne to pamiątki!

Oddech w piersi jéj zamiera,
Czuje słabe serca bicie!..
I pragnienie ją pożera, —
Ona unieść chce swe życie,
Bo ścigają w koło wrogi.

Słychać tentent, na równinie
Jakiś rycerz cwałem pędzi, —
Czy to Tatar w téj dziedzinie,
Głuchych stepów znowu błądzi,
Znanym szlakiem szuka drogi?

Szabla brzęczy mu przy boku,
Sam jak widmo z dala bieli, —
Za nim zbrojni w szybkim skoku,
Wszyscy biało jak anieli,
Manowcami pędzą w zbrzyż.

I dziewicy serce bije,
I stanęła zalękniona, —
Ona prawie ledwo żyje,
Twarz znów ogniem zapłoniona,
Bo ujrzała czarny krzyż.

To *Krzyżaki*, — i westchnęła, —
To on! *Kumtor* na ich czele! —
A zaledwo wymówiła,
Już Tatarów trupem ściele,
Co zadybał ich na stepie.

I bój zawrzał krwawy, srogi,
Ogień miota broń ognista!
I zaległy trupem drogi,
Bo ich było zbrojnych trzysta,
Co pławili miecz w czerepie.

Już ucichła głucha wrzawa,
Czasem odgłos podków dzwoni, —
Z dala świta łuna krwawa,
Tatarzyna srogiej dłoni,
Co pożogę rozniósł w koło.

Księżyc wyjrzał z po za chmury,
Toczy słaby odblask cienia, —
Raz pozłaca ciemne góry,
Znów się nurza wśród sklepienia,
To zabłyśnie w wiejskie sioło.

Ciemno, głucho, a wiatr zimno
Silnym pędem stepy pruje;
Łuna zgasła, — znowu ciemno,
A w bezdrożach zwierz czatuje,
Albo Tatar, srogi, dziki.

IV.

Już szeregiem zbrojni jadą,
Na ich czele rycerz śmiały, —
On ich wodzem, on ich radą,
Dziś dostąpił nowej chwały,
Szczęście idzie mu w zawody.

Dziarsko koniem swoim toczy,
Spojrzał w koło po równinie,
I mignęło mu coś w oczy,
Któż to błąka w tej dziedzinie?...
Tak pomyślił *Kumtor* młody.

I spiął konia, — naprzód sadzi,
Serce silniej w piersi bije!...
Czy przeczucie go nie zdradzi,
Ona może już nie żyje,
Jeżeli to jest *Lidona.*

„Ja jéj szukam — mówi sobie—
„Dla niéj staczam krwawe boje,
„Ona może w zimnym grobie,
„Zanic nowe trudy, znoje,
„Tak, to zanic gdy nie ona."

Ciemno, głucho, strach przejmuje,
Bo noc czarnym płaszczem mroczy,
Przykre zimno im dojmuje, —
Znów jak widmo błyśnie w oczy,
Szlak na Niebie krwawéj łuny.

Zawył *dziki* wiatr po stepie,
Sęp przeleciał po nad głowy, —
Na tatarskim tam czerepie,
Jemu bankiet dziś godowy,
Zapuści krwi chciwe szpony.

Wiatr zawodzi jak pieśń w grobie,
Deszczyk drobny szemrze z cicha,
Coś tam niby gwarzy sobie, —
Młody *Kumtor* ciężko wzdycha,
Bo koń stanął jakby wryty.

On zeskoczył wraz na ziemię,
Spojrzy w oczy, to *Lidona!*
Znowu brzękło srebrne strzemię,
Już przytulił ją do łona,
Wzniósł spojrzenie w Niebios szczyty.

Rumak w dzikim stepie sadzi,
„Za mną *knechty!* — *Kumtor* woła —
„Już nas tutaj nikt nie zdradzi!“
Radość błyszczy z jego czoła,
Bo kochanka przy nim droga.

On już więcej teraz śmiały,
Więcej ognia czuje w sobie,
Jakieś myśli w nim zawrzały,
Co z nim razem zamkną w grobie,
Czemuż on nie ściga wroga?...

V.

Na równinie widno błonie,
Z za gór błysnął promień słońca, —
Już znużone jeźdzców konie,
Wyglądają drogi końca,
Ona jeszcze jest z daleka.

Cóś tam *knechty* z sobą radzą,
Jużby z trudu spocząć chcieli, —
I rumaki ręką gładzą,
Bo już na nich piana bieli,
I snu chciwa ich powieka.

Wódz przystanął, oddał konia,
Bo już dalej biedz nie może;
I tu w pośród tego błonia,
Coś z swą lubą rozhoworze,
Łzy ociera z jéj źrenicy.

A w jéj duszy cóż się dzieje?
Jakieś walki sprzeczne grają!
Tam zamarły już nadzieje,
Co tak lube ożywiają
Uczucia, w sercu dziewicy.

Ona płacze, ona prosi!...
„Ja w rodzime pójdę progi.“
I spojrzenie w Niebo wznosi, —
Chce pomocy, a to wrogi,
Biada tobie dziewcze lube.

Ty nie kochasz, lecz on ciebie,
Już nie puści z swojéj ręki, —
Coś tam czyta w jasnym Niebie,
W jego sercu wichrzą męki,
Czy on dybie na twą zgubę?

O! biada ci kwiatku miły,
Już nie ujrzysz swojéj strzechy,
Znów się chmury zaciemniły,
Już nie znajdziesz tu pociechy,
Bo rodzina twa w niedoli.

Już ją w Jassyr Tatar wiedzie,
Z dzikim krzykiem w stepy goni, —
Znowu sioła tam najedzie,
Znów dobędzie ostrej broni,
Puści wodze swej swawoli.

„Ocal ojca, matkę, brata! —
— Na kolanach dziewcze prosi —
„Wyrzeknę się dla cię świata!“
I spojrzenie czułe wznosi, —
Czy też *Kumtor* ją wysłucha?

VI.

Cisza grobowa zaległa nad światem,
Czarny płaszcz nocy objął ją w uściski,
Jak gdyby siostra z rodzonym swym bratem,
Płakali, widząc już smutny skon bliski,

Bo deszczyk szemrze padając na ziemię,
Jak kiedy pacierz kto cichy odmawia, —
A w zamku snuje się krzyżackie plemie,
Ucztuje w trunku to jego zabawa.
I są bezpieczni bo warowni w koło,
I mur i woda strzegą ich dzielnicy, —
Chociaż nie jedną zbrodnią błyszczy czoło,
Orężem silni w swej dzielnej prawicy,
Któż im się oprze, kto przemoc odpędzi?
Ale są śmieli co ich śmierć nie straszy,
Co każdy życia i sił swych nie szczędzi,
By skruszyć jarzmo wśród szczęku pałaszy, —
I kiedy zawrze bój zacięty, srogi,
Podnosi głowę co ją wprzódy schylił,
Aby tém śmieléj uderzył na wrogi,
I śmieléj działał, a ciosu nie zmylił.
Czuwają straże, pilnują rozkazu,
Oni posłuszni są żelaznéj woli, —
Czytaj w ich duszy, w spojrzeniu, od razu
Jeżeliś znawca wyczytasz co boli,
I co tam na dnie nurtuje mu w myśli!
Przebiegnij okiem co wszystko wybada,
A poznasz plany które umysł kreśli,
Poznasz, czy wierny lub świeci w nim zdrada.

Tak *Kumtor* ufał swoich *knechtów* straży,
Ufał w mur, wały, co broniły grodu, —
O szczęsnych chwilach, o rozkoszy marzy,
Co o nich nieraz prześpiewał za młodu.
A tam w wieżycy, co na niej krzyż wiary,
Świeci w obłokach co w nie wystrzeliła, —
Tam cicho snują się jak jakie mary,
Czarne postacie co dziś je zakryła,
Ciemna noc płaszczem swéj mglistéj opony.
Stanęli, w górę popatrzą zuchwale,
To znów zarzucą okiem w miasta strony, —
A tam na Niebie suną się chmur fale.
W małém okienku połysk lampy mignie,
Za gęstą kratą co świeci wysoko, —
Ale tam ledwo że słowo doścignie,
Zaledwo bystre tam dopatrzy oko!
Jakaż to postać bieli u téj kraty?...
Włos jéj w nieładzie, oko mdławo błyska!
Czyli tam jakiéj opłakuje straty,
Bo mały krzyżyk w białéj dłoni ściska?
I łzy tam biegną z jéj czystéj źrenicy,
I czoło smutkiem cierpienia zorały, —
Tak, bo nurtuje tam w sercu dziewicy,
Boleść i rozpacz, co ją w duszę wlały

Okropnych losów zawistne igrzyska.
Ona chce śmierci, i myśli o skonie,
I sądzi że jest ta godzina *bliska*,
Że już nić życia słabo bije w łonie.
A jej oblicze zdobne w młodość, wdzięki,
I w świeżą krasę jak złoty poranek,
Zamarło teraz, bo cios srogiéj męki,
Ten nieodstępny cierpiących kochanek,
Wdarł się do duszy niewinnej dziewicy!
A w myśli, — cóż tam? o jest bardzo wiele!
Ona tak szybka jak lot błyskawicy,
To raz się błąka zuchwało i śmiele,
Sięga wysoko *swym bujnym polotem*,
I znowu słabnie, jakąś walkę toczy, (tem,
Chce przejrzyć przyszłość szybkim biegu zwro-
Co ją przed okiem płaszczem ciemnym mroczy
Czas, nieprzyjaciel ciekawości ludzi,
Bo on w swéj śpiży godzinę odmierzy,
I z snu długiego, z letargu nas budzi,
Ciosem, nadzieją, w nić życia uderzy!
Ale go czekaj śmiertelny człowiecze,
Kiedy zawita w twego domu progi, —
On jak żółw krokiem *powolnym się wlecze*,
Raz jest ci zbawcą, znowu tyran srogi.

O, tam w jej sercu, gdybyś jego tajnie
Wybadał, znając co czułość kobiety, —
I gdybyś na nią patrząc jednostajnie,
Widział tę piękność i duszy zalety,
I *Boską* cnotę co z jéj oczu błyska, —
Ukląkłbyś wtenczas i hołd złożył w dani,
I choć przez skały i zgubne urwiska,
Niósł jéj ratunek by wyrwać z otchłani.
Bo jedno wdzięczne zachwytne spojrzenie,
Już ci zapłaci wielkie prace, trudy, —
A takie w życiu choć jedno wspomnienie,
Olśni cię blaskiem niebiańskiéj ułudy,
Rozpieści zmysły w krainie marzenia,
Wleje ci balsam i zagoi rany,
Boś już bliźniemu otarł łzę cierpienia, —
Ten czyn, u *Boga* nie będzie zmazany.
Patrz, jak tam jeden przedziera się śmiało,
Słuchaj jak silnie serce jego bije!
Ciężkie westchnienie z piersi uleciało,
Jakiś tam ogień w jego duszy żyje.
Ogień, co siły dodaje i męztwa,
I serce hartem niezastygłym krzepi,
Podstępem, zdradą, chce szukać zwycięztwa,
Pewny że swojém bogactwem oślepi

Tę, co jéj sercu chce miłość narzucić.
Patrz! to on, *Kumtor!* to *Krzyżak* zuchwały,
Co może chciałby słońce w biegu zwrócić,
Gdyby potrzeba wykonać plan śmiały,
Co zemsta, rozpacz natchnęły mu duszę,
On by się wszystko odważył uczynić,
Bo on powiedział: co chcę spełnić muszę,
Choćby świat cały w pustynię zamienić.
Już jest u wieży! w jéj szczyt wzrok utopił!
Cóż go wstrzymuje? — ha własne sumienie!
Ono jak łowiec co ślad zwierza stropił,
W ostatniéj chwili daje napomnienie!...
Bo ono sędzią jest każdego czynu,
Mówi ci z cicha i zapęd wstrzymuje, —
Stój! nie czyń zbrodni chrześcijański synu,
Bo wraz ci piekło cierpienie zgotuje!..
Ale go *Kumtor* zuchwały nie słucha, —
Już klucz rozbroił drzwi z żelaza kute,
A wiatr coś z dala przynosi do ucha,
Jakieś tam słowa żałobą przeżute.
I mignął za nim cień jeden, i drugi!
Stawiają cicho śmiałą nogą kroki,
A w ręku ciężkie im sterczą maczugi,
Z krzemienia całe wysadzone boki, —

Gdy nią zamierzy już tam rozbrat z życiem,
Już ci świat zgaśnie i wszystkie nadzieje,
Co wlała w serce ci matka z powiciem,
A piekło, skonem twoim się zaśmieje!

VII.

Głucho! ponuro! tylko słychać łkanie,
Co w piersiach budzi okropne męczarnie,
Jak gdyby duszy powolne konanie,
Gdy ją przy łożu kir śmierci ogarnie.
To głos niewieści, to dziewicze jęki!
Płaczem boleści zawodzi *Lidona*,
A złoty krzyżyk co błyszczy u ręki,
On wlewa słodycz do dziewicy łona.
W *Bogu* jedyną pokłada nadzieję,
W *Nim* losów swoich czyta przeznaczenie,
A choć jéj serce w niedoli boleje,
Ona z stałością ponosi cierpienie,

18*

Bo tam nagroda, tam ją czeka, — w Niebie!
W świętéj pokorze tam klęczy u kraty,
I tam zasyła swe modły do *Ciebie!...*
Bo jeszcze umysł nadzieją bogaty,
W niéj żywi iskrę szczęsnéj losu *doli!*
I ojciec, matka, brat, stanęli w myśli!...
To znowu serce jéj okropnie boli,
I w niém się na dnie jakiś obraz kryśli.
Może on jaką pociechę w nią wleje, —
Może zadzwoni ostatnią pieśń w grobie,
Może się szczęsny świat znowu rozśmieje, —
O! tak *Lidona* w myśli marzy sobie.
Czyś widział piękność kiedy we łzach tonie?
Czyś stał przy łożu skonania dziewicy?
Widziałżeś *walkę* co wichrzy w jéj łonie,
I ten przygasły ogień w jéj źrenicy,
Kiedy powolnie jak gdy lampa tleje,
Zamiera, błyśnie, znów ciemnością kona,
I razem wszystkie młodości nadzieje,
Grobowa, czarna, pokryje zasłona!...
Śmierć! ona nie zna, nie czuje litości,
Łzy, srogą rozpacz zostawia po sobie,
I znowu rzuca kość w naddziadów kości,
Zmięsza popioły razem w jednym grobie!

Ale wśród obcych w dalekiej dziedzinie,
Któż tu przychylny zamknie ci powieki,
I w téj ostatniéj tak ważnéj godzinie,
Błyśnie promieniem co jeszcze daleki?
To wszystko obce, nieznane ci twarze,
Każdy ponurym okiem ciebie mierzy,
I kto wie w jakim tu przybył zamiarze,
Gdy ci ostatnia godzina odmierzy.
On łzą nie uczci twe popioły bratnie,
Nie rzuci garści ziemi na twe oczy, —
Patrząc gdy biją godziny ostatnie,
Jeszcze cię może okowami ztłoczy.
O! tak *Lidono!* bo ten *Kumtor* srogi,
W nim złość i duma jak robak nurtuje,
A jego *knechty*, — *to są twoje wrogi*,
Oni wraz spełnią co im zadyktuje.
Stanął!... znów serce w nim gwałtownie bije,
Jeszcze tam dusza walkę z ciałem toczy;
Jeszcze w iskierce jakiś ogień żyje,
Co jakby widmo czasem mignie w oczy! (żądze!
Wszedł,— stanął w progu,— przemogły w nim
A wiatr grobowym głosem w wieży dzwoni!
Przestrach nim zatrząsł gdy skrzypły wrzeciądze
Ciężkich podwoi w jego silnéj dłoni, —

Bo cóż to? widmo, anioł, czy kobieta,
Bieli u kraty schylona ku ziemi?...
Tam na jéj czole szczęście nie rozkwita,
Boleść ją dręczy wspomnieniami swémi.
A on szalony, zuchwały, *bezbożny*,
Chce by mu miłość oddała i serce!
Potężną siłą wśród przemocy możny,
A ona, — tylko łzy ma na mordercę,
I *Bóg* i *Wiara* to jéj obrona!
„Podły zbrodniarzu!“ — głos zabrzmi ponury!
Na ten głos oczy zwróciła *Lidona*,
Bo on się odbił o posępne mury,
I tam do serca iskrę ognia rzucił, —
Ale i razem grom śmierci tam bije,
Co wodze *zbrodni na zawsze ukrócił.*
Upadł pod ciosem, — już *Kumtor* nie żyje!
Wtém krzyk się rozległ,—ach! to głos *Lidony*,
Głos, z jakim tylko śmiertelni konają,
Gdy im w ostatku słodkie zabrzmią tony,
Nagłém zjawieniem skon smutny zadają.
A te dwa cienie, czy to jakie duchy?
Czy to są ludzie, czy jakie widziadła?
Ach to są ludzie! w ich piersi jęk głuchy,
Ich twarz jak ściana wieży tak pobladła,

To brat i ojciec więzionej *Lidony!*
I oni na to nieszczęsni przybyli,
By im zabrzmiały srogiej śmierci tony,
By jednym ciosem dwie dusze zabili.
Oni ściskają skarb dla siebie drogi,
Z ponuréj wieży dziewicę wynoszą,
I opuszczają na zawsze te progi,
Z sercem bijącém w Niebo oczy wznoszą,
Ale napróżno, — już martwa *Lidona*,
Już krew zastygła, duch opuścił ciało,
Już nie ożywią dziewiczego łona, —
Wszystko na zawsze, razem uleciało.
I blisko wieży złożyli jéj zwłoki,
A kładąc kamień na zimnym jéj grobie,
Okiem łzą pełnym patrzyli w obłoki,
I polecali ją tam *Boże! Tobie!*
Odtąd w téj wieży straszyły widziadła,
I dziś gdy ptak tam ponuro zakracze,
Mówią: że w nocy dziewica wybladła,
Chodzi z krzyżykiem, — ręce łamie, płacze.
A w kruku dusza tam *Kumtora* siedzi,
I jeszcze dotąd pokutować będzie,
Aż gdy pobożny kto wieżę nawiedzi
I na jéj szczycie biały gołąb siędzie.

Wtedy czas, modły, pokuty odprawić,
Nie jednę walkę z duchem nocy zwodzić,
Tak lud tam prawi, —chcąc ich duszę zbawić,
Trzeba się na to od *Boga* urodzić.



S P I S

—

I. BALLADY.

II. SIELANKI.

III. MARZENIA.

IV. ELEGJE.

V. ROZMAITOŚCI.

VI. LEGENDA.

Cena kop. 90.